

Pismo

MAGAZYN OPINII

PAŹDZIERNIK 2021 | NR 10 (46)

REPORTAŻ

**Jak dbamy w Polsce
o zdrowie psychiczne**

ROZMOWA

**Proszę być dostępnym
dla swojego dziecka**

ESEJ

**Przywilej: co to
w ogóle znaczy?**

**Czy możemy się
uwolnić od hałasu?**

CENA: 15,99 zł (w tym 8% VAT)

ISSN 2544-5022 INDEKS 422258

10>



9 772544 502005

Pismo.

MAGAZYN OPINII

PAŹDZIERNIK 2021 | NR 10 (46)



[Kup książkę](#)

Filmoteka Narodowa
Instytut Audiowizualny



Ministerstwo
Kultury
Dziedzicwa
Narodowego
i Sportu.



FINA

KINO
ILUZION

ŚWIĘTO NIEMEGO KINA

VOYAGES

w kinie
ILUZION

22-30.10.2021

Festiwal filmowy z muzyką na żywo

Streaming: Ninateka.pl

Więcej informacji: www.swietoniemegokina.pl

Kup książkę

Pismo.

MAGAZYN OPINII

PAŹDZIERNIK 2021

PROZA

Upadki | 6
ELIZA KĄCKA

Zwierzę | 92
LISA TADDEO

RZECZ GUSTU

Redakcja poleca | 3
wydarzenia kulturalne w październiku

APTECZKA

Co w niej trzyma... | 77
WITEK ORSKI

POEZJA

(...) | 16
HERTA MÜLLER

Sen | 53
WOJCIECH BONOWICZ

OBRAZ

CYKL PRAWA CZŁOWIEKA **Usnierz Górny** | 4
RATS AGENCY

FOTOREPORTAŻ **Byle na drugą stronę** | 30
ANNA ALBOTH, KAROL GRYGORUK

GALERIA **Sztuka dostrzegania** | 62
MICHAŁ ZABOROWSKI

MINIATURY
KAROLINA LEWESTAM

OKŁADKA **Znajdź prześwit**
MIKITA RASOLKA

FELIETON

2 | TYMCZASEM (...) z dziennika podróży
MARCIN WICHA

45 | NIE WSZYSTKO STRACONE **Prawo do nadziei**
ANIA MORAWIEC

95 | ROZMOWY Z K. **Antyszczepionkowiec**
KAROLINA LEWESTAM odpowiada na pytanie czytelniczki

96 | PRZYPISY **À propos zdrowia psychicznego**
ZUZANNA KOWALCZYK

REPORTAŻ

10 | **Powrót z peryferii**
ALEKSANDRA WARECKA sprawdza, czy w Polsce działa system pomocy psychiatrycznej

ROZMOWA

22 | **Zrób dziecku kanapkę**
KATARZYNA KAZIMIEROWSKA rozmawia z psychologiem TOMASZEM SREBNICKIM

ESEJ ŚWIAT

38 | **Krok po kroku**
BEATA SZADY pokazuje, jak Argentynki wywalczyły prawo do wyboru

ESEJ IDEE

46 | **O! O! Po co tyle hałasu**
URSZULA PIECZEK bada zanieczyszczenie dźwiękiem

54 | **Ołtarz zwycięstwa**
SERGIEJ LEBIEDIEW przypomina, czego dopuszcza się władza, kiedy upada

68 | **W pułapkach przywileju**
ZUZANNA KOWALCZYK zastanawia się, kto i dlaczego ma dziś lepiej niż inni

ESEJ KULTURA

78 | **Kino dla dziecka, nie z dzieckiem**
ANNA TATARSKA sprawdza, jakie filmy są dobre dla najmłodszych

86 | **Co taka miła dziewczyna...**
EWA STUSIŃSKA opowiada o rewolucji w przemyśle pornograficznym

Pismo.

Pismo. Magazyn Opinii
www.magazynpismo.pl

Wydawca: Fundacja Pismo
ul. Wojciecha Górskiego 1/66,
00-033 Warszawa
KRS: 0000689263, NIP: 1182150957

Prezes Zarządu: Piotr Nesterowicz
Członkinie Zarządu:
Magdalena Kicińska, Kalina Wysznińska

Adres redakcji: Pismo. Magazyn Opinii, ul. Wojciecha Górskiego 1/66, 00-033 Warszawa,
Redaktorka Naczelna: Magdalena Kicińska, Kultura i sekretarzowanie redakcji: Katarzyna Kazimierowska,
Felieta: Marcin Wicha, Ania Morawiec, Idee: Karolina Lewestam, Ekonomia i technologie: Zuzanna Kowalczyk,
Redakcja: Marcin Czajkowski, Urszula Kifer, Zofia Sawicka, Korekta: Monika Marczyk, Dorota Śrutowska,
Szefowa Projektów Cyfrowych: Barbara Sowa, Wydanie Cyfrowe: Mateusz Roesler,
Projekt makiety: Jacek Utko, Redaktorka Artystyczna: Karolina Mazurkiewicz,
Szefowa Marketingu i Sprzedaży: Kalina Wysznińska, Promocja: Ewa Salamon, Fundraising: Natalia Czarkowska,
Prenumerata i subskrypcja: Marcin Lipiec, Reklama: reklama@magazynpismo.pl

Redakcja nie zwraca tekstów niezamówionych oraz zastrzega sobie prawo do redagowania i skracania. Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń i ma prawo do odmowy publikacji.

Kup książkę



MARCIN WICHA
(ur. 1972), grafik
i pisarz. Nagrodzony
Paszportem „Polityki”
2017 w kategorii
literatura. Laureat
Nagrody Literackiej
Nike 2018 za
*Rzeczy, których
nie wyrzuciłem*.
W kwietniu ukazała
się jego najnowsza
książka *Kierunek
zwiedzania*.

(...) z dziennika podróży

CZWARTEK. W Serbii lepiej nie dzwonić i nie odbierać telefonu. Ceny połączeń są straszne, a już najgorzej, gdy się włączy dane komórkowe. Bywa, że ktoś zrobi to przez nieuwagę, a po trzydziestu sekundach jest bankrutem.

– Chyba – konsultant zawiesza głos – chyba że jest pan zainteresowany naszym pakietem orientalnym. Na chwilę obecną obejmuje ponad sto krajów!

W zasadzie już dawno wiadomo, że orientalizm jest koncepcją z gruntu fałszywą: stereotypową wizją obcych kultur i narzędziem kolonializmu. Jednakże dopiero Plus GSM ostatecznie określił, co się składa na Orient. Są to mianowicie kraje z opłatami za roaming: orientalna Albania, orientalna Białoruś, orientalna Gruzja, orientalna Republika Kongo, orientalna Mołdawia, orientalna Ukraina, orientalna Palestyna, orientalne Fidżi. (...)

PIĄTEK. Na lotniskach orientalizują nas wierzby płaczące i kurpiowskie wycinanki. Albo brzoźki. Albo baobaby. (...) Na lotniskach świat składa się z pamiątek, otwieraczy i magnesów na lodówkę. Ludzie zamieniają się w typy ludzkie. Chasyd do Leżajska. Biznesmen do Frankfurtu. Klasa średnia na Rodos. (...)

NADAL PIĄTEK. Wśród utrwalonych opinii, jakie Polacy mają na temat Polaków, jest i taka, że to Polacy klaszczą, kiedy samolot wylądował. A tymczasem klaszczą Serbowie. (...)

SOBOTA. Podróż! Nagły przypływ pisarskich inspiracji! Pisarskie myśli, pisarskie refleksje! Mnóstwo reporterskich uwag, którymi po prostu trzeba się podzielić. (...) Otóż, moi drodzy, Serbowie są zupełnie inni niż Polacy. Trochę podobni. Ale jednak inni. Bo też Serbia to całkiem inny kraj. Wszystko tutaj jest inne. Chociaż można też dostrzec podobieństwa. (...)

WCIAŻ SOBOTA. Słucham pisarzy. Niewiele rozumiem, chyba że akurat mówią o holokauście. Nie, wtedy też nie. (...) Troskamy się. (...) Debatę odbywa się w małej sali. Parterowy budynek wygląda jak opuszczona fabryka lub awangardowy teatr. Zostało trochę malowniczych rekwizytów. Uszkodzony manekin. Plakaty starych przedstawień Brechta. Zaproszenie na konferencję o prawach człowieka. (...)

JUŻ NIEDZIELA. Pada. A kiedy nie pada, to zaraz będzie padać. Woda ścieka strużkami po asfalcie. Miejscowi mówią, że nie powinno tak padać, nie o tej porze roku. „Belgrad tak nie wygląda!” Patrzą na swoje miasto trochę urażeni, jak na psa, który odmawia wykonania popisowej sztuczki. (...)

NADAL NIEDZIELA. „Stolica upadłego imperium” – pisze T. Starzy mężczyźni grają w szachy przy betonowych szachownicach. Sprzedawca pieczy kolby kukurydzy. Sztab generalny stoi pusty, podziurawiony bombami NATO. Poza tym mają tutaj nowiutki pomnik cara Mikołaja, salon well-ness „Syberia”, trochę art déco, dużo socmodernizmu. I jeszcze mafię, Cerkiew, nacjonalistów oraz rząd, który walczy z wolnymi mediami. (...) I wciąż pada. W szczelinach chodnika puchną niedopałki. Bo tutaj palą.

WCIAŻ NIEDZIELA. (...) Jeszcze jedna bardzo pisarska rzecz: kokieterijne użycie inicjałów. Przyjaciele i znajomi ukryci w pojedynczych literach. (...) Z C i M rozmawiamy o wędrownym górniku salety i o (...). A z A to o wszystkim. Poza tym jem *čevapčići* z cebulą, co jest jedynym dopuszczalnym sposobem jedzenia *čevapčići*, i nawet nam nie żal tych, którzy robią inaczej. (...) Z J zwiedzamy mauzoleum Tity. Oglądamy prezenty, które marszałek dostawał na urodziny. Miniaturowe czołgi, traktory i maleńki gabinet dentystyczny wykonany w fabryce sprzętu stomatologicznego. (J idzie zapalić). Ciekawe, kiedy dyktatorzy mają czas bawić się swoimi zabawkami. (...)

NIEDZIELA I TROCHĘ PONIEDZIAŁEK. (...) Trolejbus, podarte siedzenia, szaro, lata jakby 80. Mam wrażenie, że całe życie jeżdżę tą linią. Zaczynam odczuwać nostalgię. (...) Bo nas nie ma. Żadni z nas Żydzi. Żadni marani, mormoni, mamelucy. Żadni my. Mamy dożywotni zakaz używania pierwszej osoby liczby mnogiej. Po prostu jesteśmy Jugosłowianami po rozpadzie Jugosławii. Czechosłowakami po rozpadzie Czechosłowacji. Belgami po rozpadzie Belgii. Europejczykami po rozpadzie Unii. Marszem Radetzky'ego po rozpadzie Związku Radzieckiego. (...)

PONIEDZIAŁEK. Więc to już. (...) Do zobaczenia w lepszych czasach (...) kiedyś (...) gdzieś (...) w taryfie orientalnej (...)

Kup książkę

Rzecz gustu,

CZYLI REDAKCJA „PISMA”
poleca w październiku



Warszawa w Budowie w MSN

Trzynasta edycja festiwalu Warszawa w Budowie stołecznego Muzeum Sztuki Nowoczesnej startuje w tym roku 8 października pod hasłem „Jak robić szkołę?”. Punktem wyjścia dla wystawy i towarzyszących jej wydarzeń będzie obecny kryzys polskiej edukacji publicznej. W ramach festiwalu, który potrwa do 7 listopada, kuratorzy proponują spojrzenie na funkcję szkoły oraz ostatnie sto lat projektowania dla oświaty w Warszawie.

WIĘCEJ: artmuseum.pl



Festiwal Przemiany w Warszawie

To interdyscyplinarny festiwal Centrum Nauki Kopernik, którego jedenasta edycja odbędzie się między 8 a 10 października w Warszawie. W tym roku punktem wyjścia będzie kryzys klimatyczny oraz to, w jaki sposób klimat nas zmienia. W programie między innymi wykłady, dyskusje, spotkania z ekspertami, warsztaty, pokazy filmów i wirtualnej rzeczywistości oraz wystawa polskich i austriackich artystów, która połączy naukę, technikę, sztukę i design.

WIĘCEJ: kopernik.org.pl

Otwarcie NOMUS w Gdańsku

W weekend 22–24 października na terenach dawnej Stoczni Gdańskiej otwiera się NOMUS – nowe miejsce dla sztuki współczesnej, które jest częścią Oddziału Sztuki Nowoczesnej Muzeum Narodowego w Gdańsku. Z tej okazji organizatorzy zapraszają na wystawę Kolekcja w działaniu, na której zaprezentowane zostaną dzieła ponad czterdziestu artystów (między innymi Teresy Tyszkiewicz, Joanny Rajkowskiej, Karola Radziszewskiego i Doroty Nieznalskiej) oraz wystawę współczesnej sztuki irackich Kurdów.

WIĘCEJ: nomus.gda.pl

NOMUS

NOWE MUZEUM SZTUKI
DZIAŁ MUZEUM NARODOWEGO W GDAŃSKU

Kup książkę

Noc Księgarń

22 października kameralne księgarnie w całej Polsce zapraszają na trzecią edycję ogólnopolskiego festiwalu. W ramach tegorocznej Nocy Księgarń możemy liczyć na spotkania autorskie, debaty, dyskusje, warsztaty i koncerty w ponad setce książkolubnych placówek. Wydarzeniom towarzyszyć będą literackie kiermasze.

WIĘCEJ: nocksiegarn.pl



8 Październik 2021

22



HER Docs Film Festival

Już 22 października startuje druga edycja festiwalu HER Docs, poświęconego filmowej twórczości kobiet. Festiwal odbędzie się w formule hybrydowej – filmy będzie można oglądać stacjonarnie do 28 października w warszawskich kinach Kinoteka, Muranów oraz Elektronik, a także online na platformie VOD Onestage.pl – do końca miesiąca. W programie ponad setka polskich i zagranicznych filmów dokumentalnych, animacji i prac wideo oraz wiele spotkań z twórczyniami.

WIĘCEJ: herdocs.pl





PRAWA CZŁOWIEKA

Usnarz Górny

zdjęcie KAROL GRYGORUK,
tekst ANNA DĄBROWSKA,
Homo Faber, Grupa Granica

RATS
AGENCY

Jest środa 18 sierpnia, piąta rano. W Usnarzu Górnym, małej wsi położonej kilkaset metrów od polsko-białoruskiej granicy, trzydziesto-dwuosobowa grupa uchodźców i uchodźczyń z Afganistanu od doby koczuje na pasie przygranicznym. Wśród nich są Mohammad, krawiec z Kabulu, Sajjed, kucharz, Abdul, inżynier elektryk i Mohsen, kowal. Jest także Mariam z pięknym szarym kotem Fijuzem. O świcie jest zimno, wilgotno. Od kilku dni nic nie jedli. Strumyk, z którego czerpią wodę, za kilka dni zamieni się w błotnistą breję. Uwięzionym na granicy, pozbawionym jedzenia i lekarza, otoczonym ze wszystkich stron funkcjonariuszami z ostrą bronią, odmówiono prawa ubiegania się w Polsce o azyl.

Do niewielkiej wsi, w której na co dzień, według spisu powszechnego z 2011 roku, mieszka siedemdziesiąt pięć osób, zjechały wozy transmisyjne z Polski i Europy. Aktywiści mówią wprost o „syndromie *Big Brother*” – w roli podglądanych znalazła się grupa uciekinierów z Afganistanu oraz kot. Drugiego września polski rząd wprowadził na przygranicznych terenach stan wyjątkowy, całkowicie ograniczając pracę zarówno mediów, jak i organizacji społecznych.

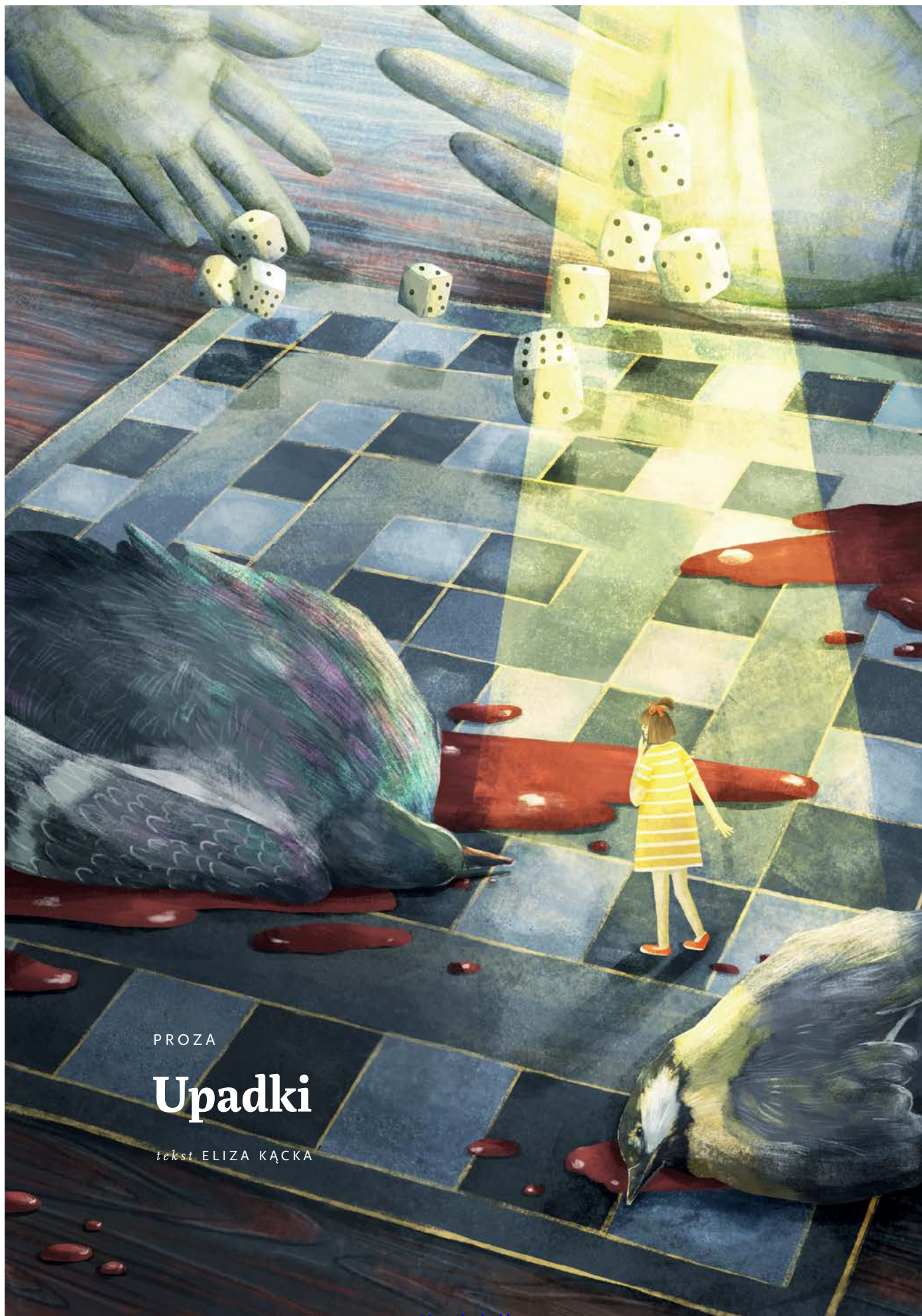
Usnarz stał się symbolem zabronionej prawem międzynarodowym procedury tak zwanych *pushbacków* – wypychania ludzi przez granice Unii tak, by uniemożliwić im rozpoczęcie procedury azylowej. Ci, którym uda się przejść, błądząc się po gęstych lasach. Osoby starsze, chore, dzieci dosłownie walczą o przeżycie.

Jest 14 września. W Usnarzu, na przygranicznym pasie nadal tkwią Abdul, Mohammad, Sajjed, Mohsen, Mariam.

2

• stopnie Celsjusza, temperatura zarejestrowana w Usnarzu Górnym nad ranem, 4 września.

[Kup książkę](#)



PROZA

Upadki

tekst ELIZA KĄCKA

Widzę, widzę: stoję przy piaskownicy przedszkola w Lidzbarku Warmińskim. Stary, poniemiecki dom, pofałdowany teren, który z mojej lipuciej perspektywy zdaje się celową kombinacją pagórków i dolin, gdzie każdy fragment ma swoją legendę. Tu się bawimy, tu ścigamy, tu formujemy kółeczko i rozmawiamy – to mapa społecznego obrządku. Na nią nakłada się moja: przestrzeń pod nadzorem, bezpieczna, do czasu, bo za wymądrzanie się oberwiesz od reszty (łączka przedszkolanki), miejsce ustalania hierarchii stada (huśtawki), przestrzeń gry w upokarzanie i zasługiwanie się bez końca (piaskownica), miejsca rozwijania zwierzęcej sprawności (górką, małpi gaj, trzy drzewa na krzyż), czyli nie wchodzi nam w paradę, jeśli nie umiesz w krótką piłkę, w szybki strzał, w dziki spryt. A ja nie umiem ani w szybkość, ani w refleks, ani w przewagę. Markuję w szatni, męcę się z workiem z butami wyjściowymi. Prawie wszyscy już wyszli, poza Kasią, która jak zawsze czeka na swój moment, by bez akompaniamentu drwin skorzystać z toalety. Jej małe, dyskretne królestwo komfortu, wymagające wyłącznie nieobecności bliźnich i na tym budujące swoją kruchą, akcydentalną przewagę. I oto jesteśmy, ona i ja, w pustej sali. Ona się cieszy, że wreszcie ich nie ma. Ja orientuję się, że ich nie ma i w panice próbuję rozwiązać worek. Ona, nareszcie wolna, idzie na nocnik – po raz pierwszy dziś (wczoraj, i jutro) – z nabytą dystynkcją i pewnością siebie, z gracją triumfatorki nad materią krzywdy. Wygrana to krótka i słono opłacona, ale jakoś pewna swej siły, awansująca ją na kogoś, kim oni nigdy nie będą, nie tylko w toalecie. Ja, złamana, szarpię się ze szmatą worka, w nienależnej mi, obcej przestrzeni, której nigdy nie będę potrafiła skolonizować płaczem, wrzaskiem, manipulacją. Ona, która nie jest w stanie skłecić sensownego zdania i najpewniej nie nauczy się czytać. Ja, która czytam już od dawna, ale nie umiem wycinanki ani wiązanie butów na czas. Obie przez krótki kwadrans okupujemy martwą przestrzeń. Dla niej jest to kwadrans triumfu, o którym wie tylko ona, ale promieniuje nim

na kilometr. Dla mnie jest to kwadrans spowolnienia i niewiary, że wyjdę na powierzchnię. Obie lecimy samolotem, z którego reszta grupy wysiadła – jak należy wysiadać – zesłała po schodkach, trzymając się za ręce, bo pani patrzy – albo i podstawiając komuś nogę, ale że schodki są niskie, to i upadek drobny. My nie zdążyliśmy wysiąść, znów zabrakło refleksu, nie zrozumieliśmy polecenia i od dołbrego kwadransa bujamy w powietrzu. Aby dołączyć do grupy, trzeba będzie skoczyć. Nieporadnie, nie oglądając się za siebie. Kasia skoczy pierwsza, spełniona po samotnym nocnikowaniu, bez drwin nad głową, pewna bezpiecznego lądowania. Ja zawsze skacze druga, szarpię się z linką do samego końca. Ładuję brzydko, śmieją się. Niemniej już jestem na łące, wyszłam.

Wyszłam i od razu rzucili społeczny kijek na aport: – Eliza, chodź tu. – Wołanie z piaskownicy, z rewiru bandy Magdy, tej zasługującej się paniom i nieznoszącej sprzeciwu. – Tam jest wiaderko, tam, podaj – krzyczy Magda z samego centrum drewnianej skrzyni z piaskiem i dziećmi. Dowodzi z piaskownicy jak z mostku kapitańskiego na leniwym okręcie ze spracowanymi burtami. Siedzi na stołku, który pani Zosia pozwoliła jej wynieść ze świetlicy wyjątkowo, bo Magda mogła ustalić, czego nie chciał powiedzieć gruby Adaś w czasie obiadu. Tak, gruby Adaś ma swój system, który znam, w końcu siedziemy razem. Przy śniadaniu zawija suche bułki w chusteczki, czasem czyste, i chowa je pod bluzę. Potem chodzi ostrożnie, podtrzymując dodatkową fałdę na brzuchu, a gdy chwilowo nikt nie patrzy, upycha zawiniątka za książkami, doniczką, szafą, między piłkami. Pytam, dlaczego to robi. – Boję się głodu. – Potem, gdy przedszkolanki tracą czujność, a każda z band pilnuje swojego terytorium, Adaś zakrada się do pustej sali „po piłkę” i szybko zjada bułkę. Pięć czy sześć takich wypraw przed obiadem i może spokojnie przeżyć dzień. Tylko ja wiem, ile go to kosztuje, gdy skrada się spięty do bunkrów przedszkola i wychodzi rozluźniony, do kolejnego lęku, do następnej kompulsji. I jakoś jest, do momentu, w którym przedszkolanka nie pozwala nam

wstać od obiadu i w towarzystwie Magdy wyciąga zawiniątko zza doniczki. – Jest to bułka, bardzo źle potraktowana – mówi. – W niebie płaczą od tego. Spadły na ziemię chlebki się całuje, a wasz kolega poniewiera. Niech się kolega przyzna, bo my wiemy. – Widzę kątem oka, jaka jest radość na trybunach tego przedszkolnego koloseum, ile kciuków poszło w dół nad poobiednim kompotem. Dziś frajda spektaklu. Adaś trzęsie się i patrzy w okno. W końcu mówi: „ja”, a to „ja” ma w sobie pudowy ciężar codziennych uników, kluczeń, podchodów. To „ja” bierze na siebie wszystkie zarzuty jak lej i szybko wypełnia się kamieniami. I oto siedzi przy mnie niezgrabne zwierzę i ciężko oddycha pod presją obławy. Słucham, jak śmieje się banda Magdy, i w jazgoczącym tonie dziewcząt moje ucho dziecka spod lasu chwytą wspólny rytm łowieckiego gonu, zgodny zew krwi. – Wstań, zakopiesz bułeczki w ogrodzie, a wcześniej każdą pocałujesz – przedszkole najwyraźniej chce mszy z całopaleniem. Adaś wstaje i, odprowadzany rechotem, idzie wolno ku drzwiom. – Bierzesz szpadel i na pagórku pochowasz to pieczywo. – Pani Zosiu, a może damy ptaszkom, w parku – pokrzykuje Ala. – Nie, wasz kolega musi odczuć, co znieważyl. – Stoimy zatem przed budynkiem, a zgity wpół pod szpadlem Adaś wychodzi z budki woźnego. Woźny waha się, czy nie wziąć na siebie roli Cyrenejczyka, ale pod karzącym wzrokiem pani Zosi ustępuje. Adaś tężeje, jego ruchy stają się automatyczne. Nie wiem, czy to ciężar szpadla, czy naszych spojrzeń. Z wielkim trudem zdobywa pagórek, z którego zimą zjeżdżaliśmy na sankach. – Teraz wykopiesz dołek na bułki! – Zaczyna. Trudno mu utrzymać łopatę, chwieje się, a tu nieprzychylny szmer narasta i niedługo przebieje granicę głosu, sforsuje próg impertynencji. Adaś zahacza się o szpadel, upada. Przykucam z wrażenia, chcę biec, wybiec na ulicę, do niego, rozbiec się. Woźny klnie, rzuca pracę i rusza na pagórek. – Kopiesz, kopiesz, Elizka przyniesie ci bułki. – Dostałam zadanie, wbiegam do budynku, nie wiem, w co zebrać bułki ze stołu, więc zawijam je w obrus i wynoszę. – Szybciej, Eliza, szybciej,

zemdlałaś tam czy co? – Wybiegam i ruszam łką. Idę tak, by ich nie upuścić. Dochodzę do linii drzew i cienia. Słyszę jeszcze jedno „szybciej” – i zamieram. Zamieram, bo chyba weszłam w pisklę. Nastąpiłam, nadeptnęłam, zgniotłam. Ten moment, kiedy staję dęba i wiem, że jeśli nie utrzymam przechyłu, runę i zmiażdżę. I nie będę się mogła podnieść, by nie zobaczyć. A jednak przegrywam z ciężeniem i padam. Za moimi plecami salwa śmiechu, a przez ciało po raz pierwszy idzie mi prąd. Od kości ogonowej po kark, jakby ktoś wypychał mi szybko w rdzeń pręt pod napięciem. Robi mi się słabo. Bułki z obrusem w trawie przede mną, powypadkowa martwa natura, a ja nie mogę się ruszyć. Nie mogę się ruszyć, bo widzę to pisklę na moich niebieskich spodniach. Widzę błotnistą maź z piórami i resztkami ptasiej anatomii na nogawkach. Nie wiem, dlaczego w mojej głowie nie wyświetla się obraz z domieszką krwi. Nie wiem, ale odtąd podręczniki biologii kłamią. I ja kłamię na sprawdzianach z anatomii opierzonych, ale co innego mam zrobić z tym swoim wtajemniczeniem. Nie wiem, dlaczego w asyście wewnętrznego dudnienia, które rozsada mi czaszkę, kradnie mi mózg instalacja w kolorze siniego błota. Dlaczego zamiast dziecięcych nogawek widzę w powiększeniu dwa drgające płótna z panoramą skóry, piór, kostek, pazurków, dzioba. Odtąd wszystkie ptaki będą już dla mnie opierzonymi workami o cienkich ściankach, w których błoto rozkładu miesza się z gnijącymi fragmentami ich sekretnej anatomii. Mogę podziwiać je w locie, słuchać ich śpiewu, ale niech nie zbliżają się do mnie. Niech się nie zbliżają, bo jeszcze zbyt raptownie potrząsną główką i wypłynię im oczko zatyczka. I wtedy wyleje się mętna, okropna treść, którą na pewno mam teraz na spodenkach. Od tych kilkunastu sekund, które spięły moje ciało w skurcz. W ostry, ciemny, paraliżujący skurcz wstrętu. Ciągłe widzę, jak otwiera dziób. I nie jest to już dziób opierzonego pisklaka, który jeszcze nie potrafi latać i beznadziejnie się stroszy, pierwszy raz poza gniazdem. Wiem, nie ma się czego bać. Czuję, że nie przestanę się bać.

Tak, bracia ptaki, nie umiem udźwignąć waszej roztrzępotanej, pulsującej, zranionej, nielotnej bliskości. Nie umiem od chwili, w której nie mogłam się ruszyć, jakby odjęło mi nogi, bo z dreszczem wstrętu w pięcio-

letnim ciele poczułam, że zabiłam. Zabiłam, rozniołam i nie da się tego ukryć. Słyszę głos przedszkolanki: – Masz ci los, teraz ta. Skórę zdarłaś? Wstawaj! – Trawa pod drzewami, jeszcze wilgotna, pachnie słodkawą soczystością, jadalnie, na rozpulchnionej rosą ziemi. Myślę, że dobrze być kretem, ten nie widzi martwych ptaków i spokojnie, dyskretnie przemieszcza się pod powierzchnią, po której chodzą złość, przymus i żal. A potem myślę, że kret, kopiąc, natrafia pod



ziemią na te wszystkie rozmiękłe bułki, truchła i, niedowidząc, przegarnia je z obrzydzeniem palcami, ryje w nich, nie potrafiąc ich okrążyć. I przestaję być kretem. Ale sobą też nie chcę być, zwłaszcza że pokrzykiwanie przedszkolanki eskaluje. Za moimi plecami gromadzą się koleżanki i z czułością, z ciumkaniem kucają blisko nóg, które mi odpadły. – Jaaaki biedny ptasiu, ptasiorek. – Proszpani, proszpani, on musiał spaść z drzewa. – Jaaaki słodziak. A mój kręgosłup po raz drugi sztywnieje, jakby ktoś podpiął mi rdzeń do gniazodka. Za dużo naraz, by mieć dostęp do myśli. Adaś zawodzi na pagórku, pani Zosia krzyczy, a ja obracam w głowie tę jedną wiadomość, że nie zabiłam. Nie zabiłam, więc mogę się ruszyć. Mogę, ale od pasa w dół ciało odmawia mi współpracy. Posuwam się zatem na rękach, powłócząc nogami, jak ranny żołnierz w okopach dzieciństwa. – Co się wydurniasz, dziewczyno – krzyczy woźny. A ja czuję tylko, że nie mogę spojrzeć za siebie, bo łąka wybuchnie. Dziś nie pamiętam, jaki odcinek pokonałam na łokciach. Ja, która twierdziłam zawsze, że mam wyjątkowo słabe ręce. Bardzo ci współczuję, wróbelku, że twój niepozorny upadek stał się dla pięciolatki, której po dziś dzień nie rozumiem, inicjacją w lęk. Jedyny lęk,

który okazał się lękiem upartym i panicznym, schronem dla złych snów, gnomem wyobraźni. Współczuję ci, ptaszku, że sam przerażony, zainfekowałeś swoim smutnym wypadkiem wszystkie moje łąki, bo do dziś, potykając się o kamień, raptownie się zatrzymując, rozdeptuję cię na miazgę. Dopiero sam wyszedłeś z jaja, a stałeś się niedopieczonym akuszerem mojej grozy.

I ta wróciła. Wróciła po paru miesiącach, gdy wbiegłam na klatkę schodową naszego jednopiętrowego bloku pod lasem. Bloku, w którym na parterze mieści się lecznica weterynaryjna, a na piętrze mieszkają rodziny weterynarzy. Jest wczesny jesienny wieczór, chłód od pól powoli anektuje przydomową łąkę, przejmując ją lekkim dygotem, przygotowując gęsią skórę liście, pnie i pędy. Rozchocona i oszołomiona zabawą z psami na bezpiecznych, bo odkrytych wzgórzach, ruszam do mieszkania po piłkę. Wbiegam, pokonuję pierwsze schody i słyszę uderzenie. Słyszę, nie widzę, bo na moment zamierzam, ale magnes lęku wciąga mnie głębiej, na kolejne stopnie. Stąd już widzę ściemniające pod wieczór okno. I oto w szybę uderza ptasi pocisk. Sikorka. Już osłabiona, ale na sprężynie amoku forsuje przeszkodę. Chcę krzyknąć: „Mamo, chodź!”, ale nie mogę się ruszyć. Podbrzusze i plecy przejmuję mi znany już elektryczny impuls. A ptak raptem wykręca przed oknem i po przekątnej tnie powietrze nade mną. Krzyczę, odskakuję, zahaczam butem o poręcz i spadam ze schodów. Kostka boli, ale nie wołam o pomoc. Boję się, że ptak wtedy runie w moją stronę, szukając wybawcy z labiryntu. Z labiryntu prostej blokowej klatki z dwiema doniczkami na parapecie. Tego wieczora jednak klatka jest studnią lęku. Nie mogę z niej wyjść w dół ani w górę. Gdy po dłuższej chwili, pocąc się z każdym odgłosem uderzenia, postanawiam wyczołgać się na podwórko tak cicho, by nie zwabić psów, słyszę głuche pacnięcie i wszystko zamiera. Tak, wiem, co się wydarzyło. Z obrzydzenia i smutku robi mi się niedobrze. Próbuję iść ku drzwiom na czworaka, gdy psy zaczynają szczekać. Sąsiad wraca ze spaceru z wnukiem, słyszę głosy. Po chwili przez drzwi wbiegają Bur, czarny, wyłowaty pies sąsiadów, z Igorkiem. – Igor, zabierz go – krzyczę, ale ten patrzy na mnie z tępym rozbawieniem. Bur wbiega na półpiętro i zmienia ton. Szczeka cienko,

z konsternacji, potem z podniecenia. Sąsiadka wychodzi z mieszkania: – Oj, Bur, zostaw, brzydki pies, brzydki, zostaw ptaka! – Wychodzi z mieszkania mój ojciec. „Dopiero teraz – myślę – dopiero, nie zauważylibyście, gdyby wszystko wokół zdechło, dopiero”. Ojciec wychyla się: – Chodź, Elizka, do domu, ja tu posprzątam potem. – Nie, nie pójdę, nie dam rady. Może jutro, może za tydzień. Wychodzi matka. Rozmawiamy. Do domu wchodzi po godzinie, mimo bólu kostki, sama, trzymając się poręczy, z zaciśniętymi oczami. Nigdy nie miałam takiego lęku wysokości i przestrzeni jak na tym jednym piętrze. Śpię w kurtce, twarzą do ściany.

A PO DWÓCH LATACH stoję zaafierowana, twarzą do stołu zabiegowego, w odnowionym gabinecie weterynaryjnym mojego ojca. Adoruję spojrzeniem pewność, masywność konstrukcji. Powagę fachu. Ojciec krząta się w kitlu przy szafce z miną – jak na niego – bardzo nabożną, jakby dopiero co odprawił na tym stole świecą mszę na cześć bożków profesjonalizmu. Dumny, puszcza oko do córki, zakasując rękawy lekarskich szat liturgicznych o barwie bieli, srebra i szarości. Tak, ma w kieszeni wszystkie atrybuty: skalpele, nożyczki, termometr w szarym pudełeczku, pęsety. Tańczy na wysokości mojego nosa ten jego wrogi, ale dziś wyjątkowo zalecający się przyborek. – Aleś się odstawił, Andrzej, jeszcze dziecko zachęcisz i po tobie przejmie – zagląda do gabinetu pan Przerwa, asteniczny złośliwiec, dziś, nie wiedzieć czemu, nastawiony przychylnie. – Ja jej tylko pokazuję, bo chciała wiedzieć, co tu się robi. – Nie chciałam, nie szkodzi, śledzę z odległości dwóch metrów półki z próbkami. – Pojdź, zobacz sobie, skrzynki z narzędziami, ciekłym azotem traktowałam. – Nie wiem, czym jest ciekły azot, zaczynam wyobrażać sobie żrącą białą mgłę, w którą ojciec ciska kolejnymi narzędziami, a potem, po ustąpieniu mgły, zbiera je i wkłada do metalowych skrzynek. „Lubię zbierać grzyby, lubiłabym i narzędzia, jakby tak można z łąki” – myślę. A tu ojciec podtyka mi pod nos wielkie kleszcze. – Tym się wyciąga cielątko z krowy, jak uwięźnię. – Uwięźnię? – No nie zawsze się dobrze odwróci. I ty się w mamie zaklinowałaś. – A to mnie też tym...? – pytam, wskazując wzrokiem przyrząd. – Ha,

ha, nie – śmieje się ojciec. – Przy tobie było pęknięcie macicy i samo poszło. – Ach tak – odpowiadam, chociaż nie jestem pewna, czy mówię to nam, czy tylko sobie. – A tu jest lampa zabiegowa – ojciec z dumą kręci giętką szyją lampy i zbliża głowicę do stołu. – Piękna – mówię szczerze, chociaż jej piękno jest zimne i zbyt geometryczne. Wielością małych żarówek przypomina oko muchy. Jest groźna. Wpatruję się w nią jak zahipnotyzowana, w jej świetlne kanały, w przezroczyście ścianki izolujące żarówki. – O, a tu zobacz, kogo dzieci przyniosły – mówi ojciec, zwrócony do mnie plecami. Odrywam wzrok od lampy, mroczki przed oczami, a on odwraca się i pewnym ruchem podtyka mi pod brodę dłoń. W dłoniach zraniony ptak z bandażem na skrzydle. Słabnę. – No co, młody gołąbek, samochód go potracił, możesz pogłaskać, nie dziobnie cię. – Cofam się na ścianę, wywracam śmietnik. – Boisz się? To tylko ptak. – Podchodzi i ponownie przybliża mi go do twarzy. Przez chwilę przyglądam się w stuporze. Oko mojego lęku chłonie rozczapierzone pazurki, czarne szramy na pulsującym podgardlu, szklane, wylupiające oczka, korpus-bułka z chlupoczącym w środku bezkostnym błotem. Piórka sterczą zeń w różne strony, widać, że dopiero co wylizał to stworzenie szorstki jezor losu. Jakby tego było mało, ojciec rozpościera mu zdrowe skrzydło. Atak młodości. Gołąb się

ożywia. Trzepot, biały opar i siwy puch w powietrzu. I raptem sypie się trupie próchno spod tłustego od połysku pancerza piór. Suchość truchła podżera masywne ciało ptaka. Nigdy nie uwierzę, że gołębie są żywe, nie, one są tylko nakręcane. To widać po oczkach. Chmura piór opada, a ja budzę się z letargu, wybucham płaczem, wypadam na korytarz. Wybiegam, wybiegam, wybiegam. Na parking, skrótem, do ogrodzenia, w stronę lasu. Niesie mnie. Niesie tak, jakbym sama miała zaraz nauczyć się latać. Dopadłszy skraj lasu, siadam na kamieniu z wyrytą strzałką wskazówką dla poszukujących pozostałości po cmentarzu wojennym. Tu przeszywa mnie po raz trzeci wiadomy prąd. Wymiotuję. Znów fala wstrętu, wymiotuję raz jeszcze. Uspokojenie. Zwijam się w kłębek i próbuję zapomnieć. Nie słyszę nawoływań. Wracam do domu o zmierzchu.

Komu to piszę? Wszystkim bogom dziecięcej traumy. Złośliwcom losu, podrzucającym mi martwe ptaki. Pod koła roweru, na balkon, pod krzak czerwonej porzeczki. Testującym, czy wciąż robi to na mnie wrażenie. Czy można, po tylu już latach dręczenia, przejść na myszy, pająki, cokolwiek ożywnego? Otóż nie, nie ma takiej konieczności. Dręczenie jest wyjątkowo wydajne, a pionek Eliza nadal staje dęba na planszy i traci kolejkę, gdy na sąsiednie pole upada martwy ptak. Można rzucać do woli.



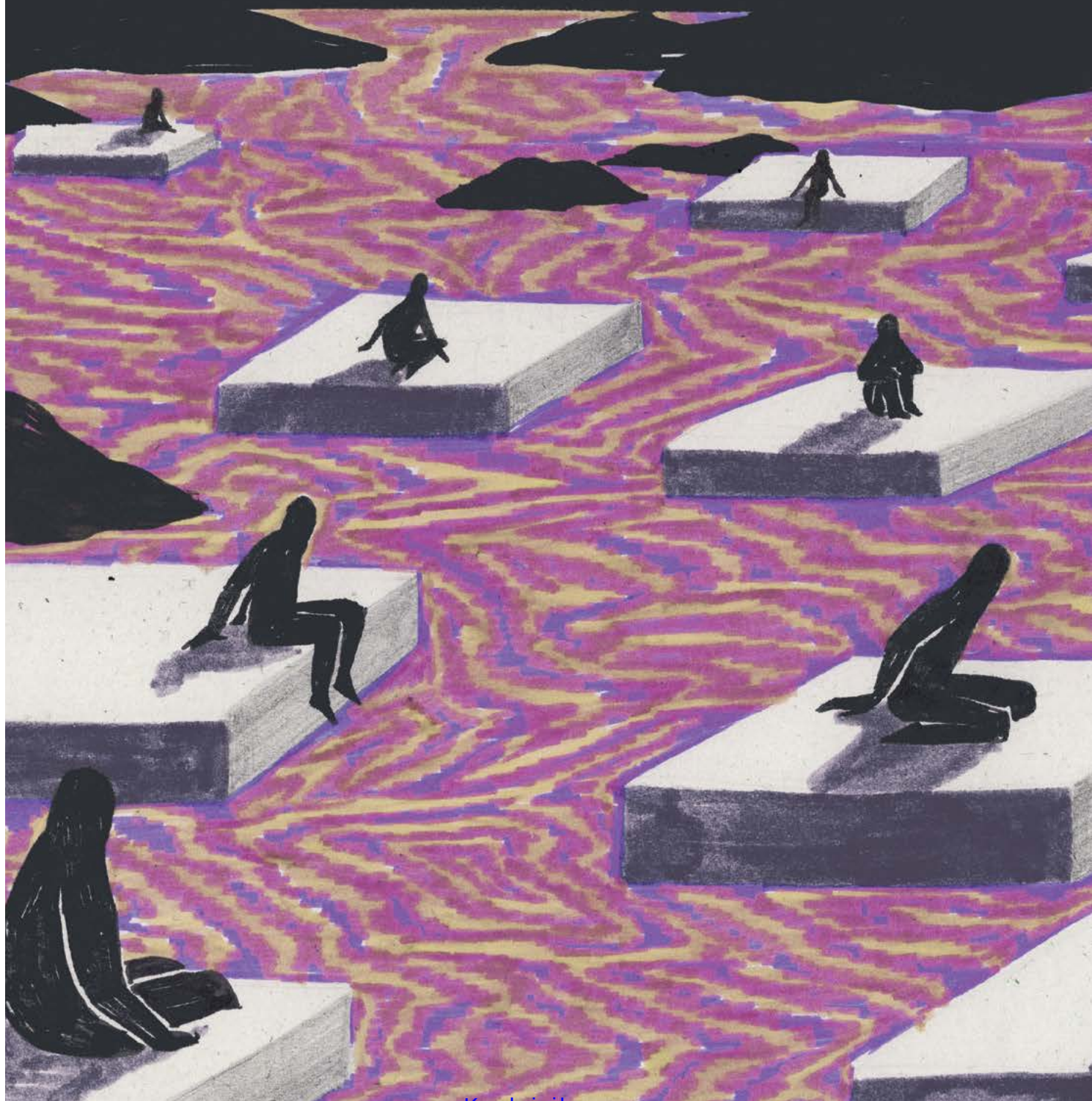
Na Ziemi jest 10 000 gatunków ptaków [...] Mała Księżniczka chciała zobaczyć je wszystkie.

Kup książkę

REPORTAŻ

Powrót z peryferii

tekst ALEKSANDRA WARECKA



rysunki KAROLINA LUBASZKO

[Kup książkę](#)



[Kup książkę](#)

OD TRZECH LAT trwa reforma, która ma szansę wydobyć polską psychiatrię z zapaści. Albo raczej ją miała.

Myślałam, że się z tego nie wygrzebię. Jestem zdziwiona, że mi się udało. I to do tego stopnia, że mogę normalnie żyć.

Katarzyna Szczerbowska nie lubi świąt. Siedzi w półmroku, ubrana w czarną bluzkę, ale cała jest jasna. Ma krótki blond warkocz i jasny, ciepły głos. W poprzednim życiu, które skończyło się w 2008 roku, pracowała jako sekretarz redakcji w miesięczniku o podróżach. Miała trzydzieści osiem lat, gdy zaczęła czuć i widzieć rzeczy, których nie było. – Wydawało mi się, że wszyscy się za mną oglądają, śledzą mnie, słyszą moje myśli. Czułam, że zaraz umrę, że się uduszę – opowiada. Trafiła do Instytutu Psychiatrii i Neurologii przy ulicy Jana III Sobieskiego w Warszawie. – Nie mówiłam, nie chciałam jeść, nie poznawałam bliskich. Nie było ze mną kontaktu. W szpitalu moczyłam głowę pod kranem i chlapałam na innych mokrymi włosami.

Jej mama przynosiła zdjęcia i mówiła: „To jest twoja córka, Ola. Ty masz na imię Kasia. Tutaj, zobacz, jesteś w górach”. Partner ją karmił. Nastawiał muzykę, gimnastykował się, a ona go naśladowała. Poprosił jednego z pacjentów, żeby się nią zajął, kiedy nie będzie przy niej bliskich. Chłopak, który trafił na Sobieskiego z więzienia, czytał jej *Mistrza i Małgorzatę*. Budowali razem z gazet instalację do kontaktu z kosmosem. – Te wszystkie osoby przyczyniły się do tego, że wróciłam do zdrowia. Ale największą motywacją była moja trzynastoletnia wówczas córka. Chciałam wyzdrowieć, by móc ją wspierać – opowiada Szczerbowska.

– Zapytałam mojego partnera, dlaczego trzymają mnie w pasach. „Wiesz, Kasiu, nikt nie ma siły bawić się z tobą w kółko graniaste przez całą dobę” – powiedział. Użycie tego środka jest trudne dla pacjenta i dla personelu, ale w szpitalu nie ma miejsca na indywidualną opiekę. Pasy są sposobem na zabezpieczenie osób, które zachowują się

nieprzewidywalnie. Tam są cztery osoby personelu na trzydziestu pacjentów.

Szczerbowska była w szpitalu trzykrotnie. Pierwsze dwa pobyty – w latach 2008 i 2010 – były półroczne. Trzeci, w 2018 roku, trwał dwa miesiące. Przyczyną jej psychozy była kombinacja niesprzyjających okoliczności: przewlekłego stresu, nieprzespanych nocy, zbyt intensywnej psychoterapii grupowej, która nastąpiła w niewłaściwym momencie, oraz wrodzonej wrażliwości.

Diagnozę – schizofrenia – usłyszała w 2008 roku. Choroba i tak była dla niej łaskawa. Wkroczyła w poukładane życie, w którym był partner, córka, praca. To nietypowe, bo najczęściej perfidnie uderza w młodych, między dwudziestym a trzydziestym rokiem życia, którzy często nie zdążyli pokończyć studiów, założyć rodzin. Im trudniej odbudować to, co zburzyła.

Pobyt w szpitalu Szczerbowska nazywa doświadczeniem granicznym. Gdy pierwszy raz trafiła do Instytutu Psychiatrii i Neurologii, na ścianach był grzyb, jedna łazienka na trzydzieścioro pięcioro pacjentów, nieszczelne okna, zimno. Spała w czapce, w palarni, bo tam miała spokój, była sama. Jednak w szpitalu czuła się otoczona opieką. Byli lekarze, którym ufała, i podane na czas posiłki. Po pobycie na oddziale całodobowym, gdzie trafiają najczęściej chorzy pacjenci, poszła na oddział dzienny, na którym odbywa się intensywna, trzymiesięczna terapia grupowa, mająca przygotować do stawienia czoła codziennemu życiu.

– Po wyjściu ze szpitala trafiłam w próżnię. Nie dostałam żadnej pomocy. Miałam zalecenie, że powinnam znajdować się pod opieką lekarza. Ale do poradni zdrowia psychicznego była kolejka i ciężko się było do niej dostać.

Poradnie zdrowia psychicznego to miejsce, gdzie może się zgłosić zarówno pacjent, który wyszedł ze szpitala i tu chce konty-

nuować swoje leczenie, jak i osoba, która zauważyła u siebie problemy natury psychicznej. Niestety, na wizytę czeka się kilka miesięcy.

– Musiałam sama sobie zorganizować opiekę. Miałam ciężką depresję i – pierwszy raz w życiu – myśli samobójcze. Wpadłam na pomysł, że będę grała na komputerze w tryktraka, grę przypominającą warcaby. Staralam się skupić na niej, a nie na tym, jak odebrać sobie życie. Ten stan trwał kilka miesięcy. Błąkałam się, szukając psychiatry i odpowiedniego psychoterapeuty, bo nie każdy chce i umie się zajmować osobą po kryzysie psychiatrycznym.

Według *Analizy świadczeń psychiatrycznych dla pacjentów z rozpoznaniem schizofrenii sprawozdanych do Narodowego Funduszu Zdrowia w latach 2009–2018* opublikowanej w „Psychiatrii Polskiej” jedynie 5 procent osób z rozpoznaniem schizofrenii (osiem tysięcy chorych) korzystało z różnych form opieki, takich jak psychoterapia, oddział dzienny czy opieka domowa. Pozostałe 95 procent (153 tysiące chorych) miało do dyspozycji wyłącznie leczenie szpitalne i wizyty u psychiatry w poradniach zdrowia psychicznego.

Szczerbowska przyznaje, że trudno jej było zaakceptować nową siebie. Schizofrenia stereotypowo kojarzy się źle: z kimś nieprzewidywalnym, kogo trzeba izolować. Nie czuła się tak sprawna intelektualnie, jak wcześniej. Miała trudności ze skupieniem się na pisaniu i redagowaniu tekstów. Pracowała wolniej. Redaktor naczelna zdjęła z niej zadanie comiesięcznych wywiadów. Chciała ją odciążyć, a Szczerbowska bardzo to przeżyła. Uważała, że sobie poradzi. – Chciałam być traktowana jak zdrowa. A ludzie reagovali litością albo ucieczką.

Jej nowe życie zaczęło się od skarpetek. Po drugim pobycie na Sobieskiego zaczęła je zbierać wśród znajomych: – To taki symboliczny prezent. Kojarzy się z ciepłem i troską – tłumaczy. – Boże Narodzenie 2010 roku spędziłam w szpitalu. Kiedy skończyły się odwiedziny bliskich, zostaliśmy sami. To najtrudniejszy moment. Poczułam, że jestem na marginesie. Nikomu niepotrzebna. Gdy wyszłam, myślałam o tych, którzy zostali. Postanowiłam co roku robić im prezenty. Po kilku latach trafiłam do portalu Gazeta.pl, gdzie napisałam artykuł o pobycie w szpitalu